

Małgorzata Maria Andrzejak

4 października o 16:37

<https://www.facebook.com/pages/Teatr-im-Wandy-Siemaszkowej-w-Rzeszowie/302319096451959>

Lubię po obejrzeniu spektaklu mieć poczucie, że to, co przed chwilą zobaczyłam warte było poświęcenia mojego czasu. Tym bardziej, jeśli mam za sobą długą podróż i wyczerpujący dzień. I to właśnie zdarzyło mi się ostatnio w "Siemaszkowej" na rzeszowskiej "Heddzie Gabler". Nie będę rozpisywać się o koncepcji, którą kupuję w całości, żeby się nie powtarzać. W licznych recenzjach napisano już dość na ten temat. Sporo też miejsca poświęcono kontrowersjom dotyczącym debiutu Magdaleny Woleńskiej. Od razu więc przejdę do wykreowanej przez tę młodziutką aktorkę postaci tytułowej. Ujęła mnie prostotą, prawdą, intuicją i - co najważniejsze - nieprawdopodobną koncentracją. Od pierwszego pojawienia się na scenie: w chwytającym za serce biegu do klozetu (bardzo trudne zadanie), poprzez kolejne rozwijanie postaci - wszystko akceptuję. W widocznej chwilami niezborności gestów i ruchu, nieporadnym jeszcze warsztatowo śmiechu i niedomkniętej frazie, szorstkim brzmieniu głosu - jest postacią. Dziewczyna, pomimo braku doświadczenia, stosuje tak rzadko spotykaną, nawet u doświadczonych aktorów, "ekonomię środków" - być może nieświadomie. Powoli wchodzi w postać, uruchamiając motorykę ciała. Techniczne rozkołysanie, wewnętrzne rozedrganie, niezwykle skupienie tematu w sobie. Wnosi tajemnicę, przez co nie może być obojętna w odbiorze. Nie mogłam oderwać od niej oczu, bo (w dodatku) jest śliczna. I - prawdopodobnie także nieświadomie, z czego nie raz korzystają "stare teatralne wygi" - stwarza tak silny kontrast dla pozostałych aktorów, że trudno jej się oprzeć (skupia na sobie uwagę). W przerwie (pomimo znajomości zarówno tekstu, jak i paru realizacji ibsenowskiego dramatu), czekałam niecierpliwie jak dalej rozwinie się akcja i co aktorzy (uważam, że bardzo dobrze poprowadzenie przez reżysera - Szymona Kaczmarka) będą mieli mi do powiedzenia. I owszem, udało im się mnie zaskoczyć. Scena z drugiego aktu, w której Hedda wspólnie z Lovborgiem (talent Pawła Dobka wydaje się równie bezsporny, jak jego oryginalna konkretyzacja roli) oglądają przezroczą z podróży poślubnej młodych państwa Tesmanów, przywołuje na myśl zachowanie współczesnych, młodych ludzi na domówkach, w pubach, czy gdziekolwiek indziej, którzy mówią niewiele, jakby do siebie, prawie bez kontaktu. Nie patrzą sobie w oczy, nie dotykają się, nie wyznają wprost uczuć - to teraz "demode". Są ze sobą - po prostu, nawet jeśli tego nie okazują. I co najważniejsze, Hedda pozornie tylko jest słaba (wiotkość aktorki dobrze służy tej postaci). Doskonale wie, czego chce i konsekwentnie dąży do zniszczenia swojej miłości, swojego ukochanego, i wreszcie - samej siebie. Gdy z ciekawością entomologa śledzi głupotę swojej koleżanki szkolnej - Thei, gdy demaskuje cynizm Bracka, emanuje przenikliwą stanowczością. Jest w tej kruchej, pozornie bezbronnej postaci determinacja i przekonanie o swojej racji. I ja jej wierzę. Świetnie pomyślana samobójcza śmierć - konceptualna, ale zaskakująco prosta. Podobnie jak scena, w której kula z pistoletu ma przebić złączone głowy dwojga kochanków (brawa dla reżysera). Wybierając z repertuaru Teatru im. Wandy Siemaszkowej (którego nie odwiedzałam od lat) mrocznego Ibsena, spodziewałam się czegoś wartościowego, ale brałam także pod uwagę, że mogę się rozczarować. Na szczęście nie tym razem. Spektakl okazał się wart poświęcenia prawie trzech godzin refleksji. Serdecznie polecam!